

Tadeusz Nowak

Krajobraz z wilgą

W tej okolicy jest zbyt uroczyście.
Jaskółki kreślą nad wodami freski,
w dzbanie jeziora drzemie chłód
niebieski
i usta mówią to, co widzą oczy.
Światło szeleści, zmawiają się liście
na baśń, co lasem jak niedźwiedź się
toczy.

Ileż to razy śpiąc w porannej trawie
słyszałem w sobie śpiewającą wilgę.
I dziś, gdy twarzą do zieleni przylgnę,
słyszę, jak echo podpowiada rzece
cały krajobraz oddany łaskawie
żrenicy ptaka i ludzkiej opiece.

Wieczorem sosna spod lasu ucieka
i dzwonią za nią rude tarcze piasku.
Wiatrak sen miele i ślepiec z daleka
z chłopcem i z pieśnią kościelną
przybywa.
Jeziora stoją zatopione w blasku
kwitnących sadów, obłoków i żniwa.

I tak tu będzie, jak bywa po burzy,
kiedy wystarczy trącić ręką gałąź,
aby czuć jeszcze fosfor błyskawicy.
Tego obrazu flet już nie powtórzy.
Przed nami stoi miska soczewicy
i w ciemność psalmu pochyla się ciało.

Wtedy się nagle mój kraj komuś przyśni
z chłopcem pod lasem i z koniem u
studni.
Spłoszona gałąź ucieknie od liści
i ptak zawoła przez sen leśne echo.
Wieczorna zorza odchodząc zadudni
i noc swe gniazdo uwije pod strzechą.

Pogasły lampy, tylko noc majowa
uczy się pieśni miłosnych na flecie.
Urywa, słucha i znowu od nowa
flet nawołuje z drzemiących osiczyn
rzekę, o której tylko tyle wiecie,
że jest z zieleni i mówi o niczym.

Oczekiwanie

W takie wieczory na nic się nie czeka,

słucha się dzwonka, co u sani
brzęczy,
smaga się konie, biegnące z daleka
po horyzontu skrzypiącej obręczy.

Może to do nas jada gości mili?
Przychodzi siostra, biorę ją za ręce
i tak jak jestem, w iskrach śniegu
pędzę
do ludzi, których będziemy gościli.

Ale w dym mrozu odjeżdżają sanie,
przeźren po dzwonekch zasypuje
zima,
siostra mi kładzie lewą dłoń na
ramię,
a w prawej moją zimną rękę trzyma.

I znów patrzymy, każde w swoim
oknie,
na śnieg kudłaty, na rogate drzewa;
jeśli się palcem tej gałęzi dotknie,
do kotła studni suchy blask się
wlewa.

Po co się martwić, głos twój nie wywoła
miłego chłopca na odległość źrenic.
Jeszcze wyjść można z krajobrazu koła,
ale nie można jego smutku zmienić.

Jeszcze się z wieńcem zjawia u nas goście,
zabębni zima i flet wrześnie ostro;
a wy na czapkach pawie pióra
stroszcicie,
a ty się ubierz w białą zamieć, siostró.

I znów stoimy, każde w swoim oknie,
z czołem na szybie, z nieruchomą
twarzą;
może się zjawi, ręki twojej dotknie
i jego oczy policzki ci sparzą?

* * *

W tej codziennej poniewierce
żyłem, spałem w cieniu wód,
rozdawałem jak chleb - serce
i okrutnem głupstwa plótl.

Napatrzyłem się do woli
mędrcom, z których dziecko drwi,
głupkom, którzy sukmem dolin
do niebieskich idą drzwi.

Spotykałem mędrców w sadzie,
co na cichą życia gałąź
kładli ręce, jak się kładzie
głowę w smutku posiwią.

Z gniewu, z żalu, z opowieści
załamanych rąk - na znak,
że nie to się w pieśni mieści,
co oklasków zasiał mak -

Jak się przed tobą wytłumaczę

O, życie moje, nieprzytomne życie.
Chodzę wśród ludzi, których się
dotyka
ustami, ręką, wzrokiem, wyobraźnią.
Czy wy mnie, ludzie, smutku
oduczycie,
co we mnie rośnie, rośnie jak
muzyka,
gdy bębny ziemi moje stopy drażnią?

Wciąż mi się zdaje, że już dawno
jestem
tam, dokąd idę z podniesioną głową.
A przy mnie usta zaciska surowo
ojciec wpatrzony w miedzę pod
butami
i twardej ręki niecierpliwym gestem
wskazuje niebo krążące nad nami.

I cóż mu powiem? W oczy mu popatrzę,
schylę się nisko do rąk dostojęstwa,
a on pomyśli o miejskim teatrze,
gdzie ponoć uczą kłamiwej pokory,
i twarz odwróci od gestu błazeństwa,
i pójdzie siwą łąką na nieszpory.

Jak się przed tobą, ojcze, wytłumaczę
z różańca, który po ziarnku gubiłem
w ogromnym lesie, co się za mną
czerni,
gdy na twe ręce tak pokornie patrzę,
jakbym roztrwonil wszystko, co mi
dałeś.
A łąką idą ukorzyć się wierni.

Północne bębny

Ludwikowi

Ciemna nienawiść porusza się we
mnie.
Nad głową lecą świszcząc białe ptaki.
Organy lasów, wracające znaki
ziemi i nieba nad ułomność czoła.
Kto przejdzie pierwszy przez milczenie
wód,
ten mnie jak świątka ze snu pół
wywoła.

Noce przed nami będą jak klasztory
pełne młodzieńców idących wśród
pieśni.
W trawie świt stopą tracony szeleści
i widać piaskiem wybielony stół.
Siadam przy stole odepchnięty
psalmem,
jak gdybym suknie i sandały zzuł.

Do moich dłoni chleb i nóż podejdzie,
dziecko do moich kolan się przytuli
i płaczem nazwie idących o kuli
cieniem kościołów, psią miłością bram.
Zdrów na umyśle i na ciele zdrów,
północne bębny krwi słowiańskiej
znam.

A obok z twarzą ukrytą wśród dłoni
siedzi przyjaciel ocalony w smutku.
Blask pada z liści i pies po cichutku
zaczyna warczeć. Siedzący przy stole

wracają w siebie po kamienne
maski.
Gwiazda i wapno świeci na twym
czole.

Mrowisko

Człowieczek suchy patyk
odarty z liści
nagi
stoi w mrowisku
przestępuje z nogi na nogę

Chce zakwitnąć
chce być jabłonią
archaniołem
bogiem chce być

Mrówki po nim
idą
przenoszą
swój dobytek
na jego głowę

Człowieczek suchy patyk
otwiera usta
w jego gardle
skowronek śpiewa
Od tego śpiewu
jego głowa
jak złote berło
podskakuje

Czarne mrówki
spadają z głowy
Głowa jest czysta
głowa świeci
jaśniej od berła

Człowieczek suchy patyk
przymyka oczy
Teraz w sobie
widzi anioła
widzi boga
do czarnych kostek
złoconego

Człowieczek suchy patyk
stoi w mrowisku
nieruchomo
Człowieczek kwitnie

Mrówki po nim
idą
przenoszą
swój dobytek
Znikają
w jego ustach

Człowieczek biała jabłoń
modli się
W jego wnętrzu
rośnie mrowisko

Stamtąd
krzyczy archanioł
zjawia się bóg płonący

Widzenie sadu

A sad przesyty strzałą
jabłkami pachnie nadal
Bóg w sadzie rzekł archanioł
i w sadzie pociemniało
od psalmu i od złota

A sad przesyty strzałą
jabłkami pachnie nadal
śmierć w sadzie szepnął Adam
i w sadzie pojaśniało
od kości i od moczu

I widział sad archanioł
Do jego złotych pleców
przesyty strzałą
uciekał sprzed tym bogiem
złamanym skrzydłem upadając
na nieśmiertelność poranioną
i na śmiertelne sadu ciało

Takoż widział sad Adam
W jego koronie przesyty strzałą
z jabłkiem w przelyku
kamieniem spadał
w śmierć nieśmiertelną
przez sadu złotą sieć
w śmiertelne sadu ciało

* * *

Stoją gorzkie pagórki, bo gorzka jest
zieleni,
gdzie przebiega wilk nocy i prędko dnia
jeleni,
nie spotkają się nigdy w ruchomej
przestrzeni,
wilk w jelenia, a jeleni się w wilka
zamieni.

U pagórków dolina Dunajcem rozcięta
jak gałęzią miłości zrywana zbyt
chciwie
przez podobne do światła i wiatru
dziewczęta,
bo gdy biegną - nie skrzypi miedziane
igliwie.

Pachnie zieleni obmyta przez wiatry i
deszcze
i dolina się słońcem wypełnia po brzegi,

choć wśród lasów zbliżonych do nieba
śpią jeszcze
dzikie stada gołębi i białe śpią śniegi.

Szukać ciebie nie trzeba, bo jesteś pod
ręką,
biedna moja kołysko uśpiona piosenką
pod pagórkami z jałmużny, gdzie ojciec
mój orze
ziemię, gdy po ziemi przechadzają się
zorce.

Do ciebie idę, dziadku, siedzący na
progu
z fajką w zębach tak starą, że chyba po
Bogu
dziedzicysz ją, a tytoń na pewno masz
z raję,
bo dym pachnie jak lato i jesień w mym
kraju.

Lubię słuchać twych baśni pod
zmierzchem kasztanów
i patrzeć, jak się bawi twoimi wąsami
wnuczka - iskra uśmiechu. A ty się
zastanów
nad jej dłonią wzniesioną po gwiazdę
nad nami.

Do ciebie idę, matko, po trzykroć
cierpieniem
ugodzona w dno serca, by stało się zadość
woli nieba, gdyż niebo jest twoim
sumieniem
i sumieniem tych, którzy zabili twą radość.

Wiem, że nigdy dla ciebie nie znajdę pól
śniegu
tak pokornie białego, byś mogła iść po
nim
do twych synów, co leżą zabici na
brzegu
niemej wody, z gałązką jedliny u
skroni.

Do was, ludzie, przychodzę, gdy
śpicie przy oknie
uchylonym do sadu, a w sadzie świt
moknie
i groch burzy po dachu blaszanym
się toczy,
zanim słońce przywróci wam mowę i
oczy.

Będę chodził za wami i będę wam
cieniem,
kiedy cień wam spod głowy wytrąci
sierp żniwa;
deszczem będę, gdy wody ze źródła
ubywa,
a pola są przebite na wylot
pragnieniem.

Wyście mi dali wszystko, co może
dać człowiek
dziecku ziemi tak biednej, że siebie
się wstydzi:
dach nad głową, chleb, wodę i
światło u powiek
i jeszcze coś, lecz tego prócz was
nikt nie widzi.

Ziarenko trawy

Zwierzęta drzewa ptaki
Pomiędzy nimi przelatują
ziarenka deszczu trawy snu
Zwierzęta drzewa ptaki
cięższe od skrzydła skiby chleba
od wyjątego pługa z jutrzni
Pośrodku siedzą ojciec matka

Siedzą pośrodku: Biblia sen
Dotknąć ich ręką a w nich sady
sypią jabłkami w zboża, w wody
Sypnąć mak na nich a z ich snu
wychodzą dzieci w zboża w sad
w staw karych koni złotych jutrzni

Zwierzęta drzewa ptaki
Pośrodku ojciec matka
Dotknięci dłonią makiem idą

polem i jutrznią idą Biblią
Na kiju niosą susz koźlątko
bochenek chleba skopiec mleka

Zwierzęta drzewa ptaki
Na jednym z nich odjeżdżał ojciec
w komiśnych butach w rogatywce
Ale ptak ciężki: skiba pług
upadł w brzuch koński w łajno w
zmierzch

Zwierzęca drzewa ptaki
wietrzą złamane pióra wietrzą
sowę pod pełnią Wylizują
saletrę z dłoni z czoła pot
ziarenko trawy spod paznokci

Wiklinowe słońce

Odpustowe słońca
plecione z wikliny
turkocą za lasem
na sosnowych kołach.

Prawowierni czerpią
z kadzi od pokoleń
z wieczornego maku nieba
wytlaczany olej.

Pałą się ogniska.
Na jezior patelni

piecze dla nas placek
Bóg z pszenicznej pełni.

Już placek zjedzony,
olej wysiorbany.
Na sen nasz opuszcza
las drewniane dzwony.

A wtedy, gdy dzwonem
już nakryci, śpimy,
ktoś słońca za lasem
wyplata z wikliny.

Misterium człowiecze

Człowiek przez białe pole biegł.
Nad nim świątkowie polni
kapliczkę jego nieśli:
trzy deski zbite w trójkąt
z żrenicą Opatrzności.
Ziemia krążyła jabłkiem:
zielen, czerwien i biel.

Po tym jabłku biegł człowiek:
kapliczka, trójkąt, oko.

Człowiek biegł obok nas.
Twarz jego: żółć i ocet
nad słodkim jabłkiem ziemi.

W dzbanku śpiewał jabłecznik.

Człowiek biegł obok nas.
Jego stos pacierzowy:
palona w rurze glina.
Pomiędzy nami krążył
placek: służka weselny.

Człowiek wbiegł w białe pole.
Nad nim świątkowie polni
kapliczką potrząsali,

trójkątem z desek trzech
niebo mu tłumaczyli.
Człowiek klęczał. Potrząsał głową.
Z człowieka iskry szły.

Wtedy z pobliskich pól
przybiegli chłopci.
Twarz jego żółć i ocet
dali deszczom do picia.
Jego stos pacierzowy -
poplonom do zjedzenia.

Wtedy wstałem ze snopka,
aby zdjąć z pola cień
jaszczurki i kamienia.

Chłopi na snopku nieśli
podobne zbożu ciało.
To było zwierzę.
Inni to ciało posadzili
w ziemi. Na niej drzewko.
Na tym drzewku kapliczkę:
trzy deski zbite w trójkąt.
To był człowiek.

Pacierz zaklinający

Oczyść nas ziemię
tak jak się oczyszcza
nóż zardzewiały ze szpiku kostnego
Liściu ostatni oczyść
polne nasze źrenice
ze szkła w obłokach tłuczonego

Oczyść nas ze skrofulów
z czyraków czarnej śniedzi
z pamięci ropnej która
nad słowem brat się biedzi

Oczyść nam rękę prawą
i wyjmij z niej ten kamień
którym się lód i czaszkę
kruchszą od lodu łamie

Lewą rękę nam oczyść
kiedy przez siódme rzeki
próbuję grosz położyć
na ojcowskie powieki
A nade wszystko oczyść
język i nasze usta
z których woła i woła
w drucie kolczastym pustka

Oczyść nas ziemię
tak jak się oczyszcza
nóż zardzewiały ze szpiku kostnego
Liściu ostatni oczyść
polne nasze źrenice
ze szkła w obłokach tłuczonego

Pacierz prywatny

Przebacz mi duchu nieśmiertelny trawy
łzo spływająca po końskim obliczu
oślepy kocie i ty psie kulawy
skuczający głuszkiem z miodnego koniczu

Przebacz mi nożem nacinana brzoza
jabłonko pętlą duszona na wiosnę
mircie weselny co cię w piasek wiozą
lampo z jesieni świecąca żałośnie

Wstyd mi przed wami i przed wami tylko
mogę po nocach mówić te pacierze
które owieczkę przebaczą wilkom
i ścielą katu z siennej łaski leże

Przebacz mi losie tę czapkę błazeńską
którą na głowie od lat wielu noszę
i to przegrane na śmietniku księstwo
z królem strąconym w śmietnikowe kosze

Przebacz mi wiarę i chłopską nadzieję
że się pszenicą zazieleni kamień
Kur po raz trzeci w tym królestwie pieje
Zamień go trawo na papugę Zamień

Pacierz koładowy

W moje źrenice pada śnieg
śnieg pada w twoje ślepią koniu
więc nie widzimy kto na błoniu
szyje czerwoną nicią ścieg

Pamięć mi mówi że to anioł
instynkt twój szepcze że to bies
A może tam się same łamią
opłatki krwinek na nasz chrzest

Może wyszywa się w kołędzie
z moich i twoich końskich win
to co na pył niebieski będzie
zmielone przez odwieczny młyn

A może ktoś wyszywa ścieżkę
dla twoich kopyt i mych nóg
żebyśmy po niej mogli jeszcze
dojść tam gdzie rodzi się nasz bóg

I upaść razem na kolana
i rozgryzając źdźbło po źdźbło
słuchać jak trzeszczy zapisana
kolęda w trawie i we śnie:

nie chodź koniu po tym błoniu
nie myśl człeku po tym ćwieku
w wigilijną noc
w wigilijną noc
hej kolęda kolęda
w wigilijną noc

Pacierz snu mego

Mówię do snu mój bracie
połóż się przy mnie połóż
- Nie mogę W niebo czerpak
wstawiłem dziś na połów

Tam nie ma ryb i anioł
nie pluska się od dawna
- Broń tam jest porzucona
i partyzancka sława

Nie znoś stamtąd tej broni
nie rozkładaj na sianie
- A jak oni tu przyjdą
zanim połów się stanie

To chociaż mnie nie musztruj
nie każ spać z karabinem
- W twoim kraju pod bronią
sny śpiąją dziecinne

Ale kiedy w sen wchodzę
broń mnie twoja uwiera
- Dziad twój sypiał na dłuższych
niż sny twoje giwerach

Nie znam go a twarz jego
Kropla potu na chuście
- On tu idzie Sny moje
przepuście go przepuście

- A ty się do snu mego
połóż mój bracie połóż
- Nie mogę W niebo czerpak
wstawiłeś dziś na połów

Pacierz zakazany

Nie śpij w tej izbie Ona po niej
chodzi i załamuje dłonie

I na strych nie wchodź po drabinie
jej anioł po niej cicho płynie
Nie wchodź do stajni Tam króliki
jedzą z nią razem czosnek dziki

Nie łaź o zmierzchu za stodołę
w bie dzikim jej kolana gołe

Jej dłoń kaleka ci się przyśni
gdy sięgniesz wprost ustami wiśni

I oczy będziesz miał piekące
kiedy się w jej wytarzasz łące

I nie zobaczysz jej już nigdy
jeśli źdźbło jedno zranią widły

I dłonią twarzy jej nie dotkniesz
gdy spojrzysz w pola przez krzyż w oknie

Ale nie wyjmuj miły dłoni
z modlitewnika który ona
wiążąc z pokosa snopki pszenne
palcami krzywo zrosniętymi
w litanie ptasie i zwierzęce
rozsiała hojnie po zagonach

O miłości

Nie znajdziecie takiej miłości na ziemi,
Co słowa nierozważne jak dziecko sepleni
I lęka się dotknąć spragnionego ciała
Ręką, by ręka od pieszczot nie drżała.

Lecz widziałem ludzi, co toczono słowa
Przyjmowali w darze i sztuczne
westchnienia,

Nie wiedząc, że w słowach jest tylko
połowa
Miłości i druga połowa cierpienia.

Taką miłość cenię, co sen zrywa z
powiek,
By dokończyć zdanie złamane w
połowie,
Dla której zbyt krótkie są lata kochania
I długie jak noce -- sekundy czekania.

Drugi pacierz diabelski

Leżę w tej ziemi Przy mnie leży
Babilon Grecja Rzym Bizancjum
Leżę w tej ziemi A nade mną
przez bujne trawy galopuje
mongolska zorza - Dżyngis-chan
i do jej grzywy przytroczony
wypruty z jelit ludzki łańcuch
Leżę w tej ziemi Obok leży

Franciszek Wilhelm i Mikołaj
Jeśli chcesz Panie z mej pamięci
kibitki pętle i orły dwugłowe
na swe niebiosa jesienne wywołaj

Leżę w tej ziemi A w nią wchodzi
ludowe żale dziady Mickiewicza
Szela chochoły wsie jedna za drugą
Biblia Kapitał kościołek po krzyż
partia policja Jasiek donosiciel
siekiera młotek nóż dębowy kołek
sznur Popiełuszko który jeszcze nad nią
większą niż jutrznia świeci smugą
Tylko dla niego z pól jesiennych
niesie sopelek żalu - ziarnko prosa
stworzona nagle na świadectwo mysz

Leżę w tej ziemi przebity na wylot
srebrnym szpikulcem kołkiem osikowym
nożem ostrzonym na gwiezdny kamieniu
i od kamienia cięższej mgły
Nade mną bracia piją denaturat
i dzieci jedzą kiskę w pergaminie
Kiedy odejdą i światła pogasną
i tylko świecić będą ślepień
archanioł z niebios nad nami pochylon
spisze cesarstwa obok mnie leżące
i jedno żywe lecąc na Babilon